Cena 30 groszy Opłatą pocztowa uiszczona ryczałtem

WOLNOMYŚLICIEL POLSKI



DWUTYGODNIK

ROK 2 WARSZAWA — 1929 — 1 WRZEŚNIA 18 NUMER

REDAGUJE KOMITET

Kapitulacja meksykańskiego kleru

Kler katolicki w Meksyku po trzech latach awanturowania się, urządzania zbrojnych powstań i zamachów na konstytucję i protestowania „wobec całego świata" na swoje „uciśnienie", skapitulował nareszcie, nie osiągnąwszy niczego. Do tej kapitulacji został on zmuszony stałem niepowodzeniem długotrwałej, kosztownej i bezcelowej walki zbrojnej z rządem, dezercją z jednej strony, a brakiem chętnych do zaciągu i wystąpień antypaństwowych z drugiej, a przedewszystkiem brakiem „zasiłków strajkowych" z Watykanu, który zamiast pieniędzy, słał im tylko „błogosławieństwa", modlitwy, protesty i zachętę do wytrwania w walce, czyli rzeczy bezwartościowe. Zawiodła również spodziewana pomoc pieniężna ze stony sfer kapitalistycznych Ameryki i Europy. Jedynie Hiszpanja zasilała powstańców bronią i pieniędzmi. Król włoski zaś zachował się w całej tej sprawie neutralnie. Polska, pomimo kilku wieców, urządzonych przez endecję, kongresu eucharystycznego, zjazdu katolickiego i uchwały protestacyjnej warszawskiej młodzieży akademickiej z listopada r. ub., nie wysłała na teren walki ani jednego hallerczyka, a zamiast tego uruchomiła w stołecznem mieście Meksyku konsulat na znak, że nie myśli zrywać z rządem, zwalczanym przez kler katolicki, stosunków dyplomatycznych, co dało powód niejakiej Puzyniance do niezadowolenia, a „Gazecie Warszawskiej" do pomówienia obecnego rządu o masońskie tendencje.

Podrapali się tedy bogobojni ojcowie w głowy (zwłaszcza, że nie było co jeść) i postanowili skapitulować, aby nie zdyskredytować całkowicie i swego autorytetu i pozornych

wpływów i rzekomego znaczenia, a przedewszystkiem swego boga, który ich sprawie najwyraźniej nie błogosławił i tak się przez cały czas zachowywał, jakby go wogóle nie było. Powstawała przytem obawa, że meksykańscy katolicy poprostu odzwyczają się od chodzenia do kościoła, od płacenia za posługi i od składania ofiar, jeżeli ten stan rzeczy będzie trwał dłużej.

Zrzuciwszy tedy pychę z serca, poszły zbuntowane klechy do Kanossy i „zatarg" został zlikwidowany.

A było to tak. W dniu 21 czerwca zjawiło się u prezydenta republiki, Portesa Gila, dwóch parlamentarzy ze strony kleru: arcybp. Ruiz y Flores i bp. Diaz, którzy mu oświadczyli, iż duchowieństwu katolickiemu w Meksyku tylko się zdawało, że konstytucja meksykańska, gwarantująca wszystkim obywatelom wolność sumienia i przeprowadzająca rozdział kościoła od państwa godziła w podstawy religji katolickiej. Po namyśle (trzyletnim!) przekonało się jednak, że tak nie jest i że zarządzona przez władzę rejestracja duchowieństwa nie była zamachem na wolność obrządku katolickiego. Parlamentarzyści ci zapewnili jednocześnie prezydenta, że kler rzymski jest ożywiony szczerym patrjotyzmem i że pragnie podjąć nanowo służbę bożą po zamkniętych kościołach.

Portes Gil zapewnił ze swej strony pełnomocników kleru, że nie ma nic przeciwko temu, o ile duchowieństwo katolickie zachowa całkowitą lojalność wobec państwa, jego ustaw i rozporządzeń. Przypomniał zarazem, iż zgodnie z prawem konstytucyjnem, nauka religji jest w szkołach publicznych wzbroniona i że duchowieństwu wolno jest jej udzielać jedynie w kościele i to jeno tym osobom, które się w tym celu zgłoszą do kościoła same.

Ponieważ obaj biskupi przyrzekli w imieniu kleru zastosować się do tych warunków, sporządzono odpowiedni układ, który obie strony podpisały. Poczem rząd meksykański polecił otworzyć zamknięte kościoły i uwolnić wszystkich księży, którzy zostali uwięzieni za wrogie względem państwa postępki i knowania.

Na prośbę kapitulantów otwarcie kościołów zostało zarządzone na dzień 29 czerwca, czyli na Piotra i Pawła. W tydzień potem kler rzymski urządził uroczystą manifestację na cześć prezydenta republiki, lecz bez przemówień. Pisząc o tem „radosnem" „zażegnaniu zatargu religijnego w Meksyku", korespondent „Dnia Polskiego" (Nr. 192) nadmienił odsiebie, że dnia tego „cudowna matka boska gwadelupska, po trzech prawie latach bolesnego milczenia i trwogi (!), rozjaśniła swe boskie oblicze"

Żeby tak był zdrów, jak on to widział.

W. Rulikowski

Fetysze

Nawet w Warszawie 20-go stulecia przy kościołach stoją kramiki, a w nich sprzedawane są medaliki, koronki, krzyżyki, różańce, broszurki nabożne, modlitewniki i t. p. Naturalnie handlowi temu ani chcę, ani mogę przeciwdziałać. Podniesienie się poziomu oświaty samo kres mu położy.

Ale niezależnie myślący człowiek winien wiedzieć, że nauka już dawno wypowiedziała się co do tych dewocyjnych towarów i wyznaczyła im miejsce ściśle określone oraz ujawniła rolę, jaką istotnie w życiu społeczeństw na pewnym stopniu rozwoju, odgrywają. Oto jeszcze w 1871 r. w Lipsku u Wilfferodt'a wyszła zasadnicza książka Fitz'a Schultze Dr. phil. „Der Fetischismus“, „Ein Beitrag zur Anthropologie und Religionsgeschichte“. Gruntowna ta praca dziś jeszcze, zwłaszcza w Polsce, warta jest przestudjowania, a nadewszystko rozważenia. Szreiber ze Lwowa, oparł się na niej, pisząc wyborną swą książkę polską: „Twórcy Bogów“. *) Książkę tę również polecam uwadze wolnych myślicieli naszych.

Taki „fetysz“ w mniemaniu prostaczków, tak drogich duchowieństwu, to tarcza, to uniwersalne panaceum (środek na wszelkie dolegliwości) przeciw wszystkiemu złemu, które może człowieka spotkać. Że tak jest istotnie, niech pouczy tekst książeczki: „Koronka Przenajświętszego Żywota Pana Jezusa Chrystusa Zbawiciela naszego“, Warszawa 1897 druk Niemiry synów.

Na str. 38. „Skutki i moc święta właściwa świętemu krzyżowi wyrażonemu na medaliku S. Patryarchy Benedykta“:

1) Rozpędza czartów.

2) Zachowuje i jest lekarstwem przeciwko śmiertelnej truciznie.

3) Jest pomocnym przeciwko morowemu powietrzu.

4) Jest skutecznym przeciwko piorunom.

5) Daje ratunek przeciwko burzom.

6) Daje ratunek w słabościach niewieścich.

7) Jest lekarstwem przeciwko wielkiej chorobie i innym słabościom.

8) Jest silną bronią przeciwko pokusom, a osobliwie do zachowania czystości.

9) Uwalnia zwierzęta od chorób.

10) Nakoniec zniweczywszy zasadzki szatana, rozwesela utrapionych, kuszonych, daje moc i ratunek w życiu i w godzinę śmierci.

Sposób skuteczny używania tego świętego medalika:

---

*) Nakład Księgarni Polskiej B. Połonieckiego we Lwowie. 1904. Podobno jest ona jeszcze w handlu księgarskim.

Przyp. Red.

Niech się nosi (!) na szyi albo jakim innym sposobem na sobie. Można go umieścić na drzwiach domów, lub pokojów. Można przykładać do członka bolesnego w czasie choroby. Można pocałować dla otrzymania odpustu. We wszystkich potrzebach do skutecznego użycia tego medalika odmawia się 5 Chwała Ojcu i t. d. do męki Chrystusa Pana, 3 Zdrowaś Marja do Najświętszej Panny Marji i 1 Ojcze nasz do Świętego Benedykta. Dobrą jest rzeczą te modlitwy codziennie odmawiać, ażeby obfitsze otrzymać skutki tego nabożeństwa.

Approbatur: *Leopoldus Łyszkowski*
Secretarius: *J. Podbielski.* № 5007.

Komentarz naukowy jest taki:

Przedewszystkiem ilość modlitw: 5 + 3 + 1, co razem daje 9, a wiadomo, że — 9 składa się z 3×3 lub z 3 + 3 + 3, dziewięć przeto składa się z 3 — z cyfry, która wedle Carusa Sterna (Trojaburgen — Nord Europas) oraz innych badaczy w tym kierunku, była czczona na całej pogańskiej północy w epokach przedhistorycznych, co znowu rzuca światło na pogański, bardzo odległy podkład tej wierzeniowej (niby chrześcijańskiej) formułki dewocyjnej.

Następnie w 2 tomowym dziele Dr. S. Seligman'a z Hamburga: „Der Böse Blick und Verwandtes. Ein Beitrag zur Geschichte des Aberglaubens aller Zeiten und Völker", Berlin 1910, na 339 str. 1-go tomu czytamy o tym medaliku Ś. Benedykta: „Medal Św. Benedykta jest nietylko obroną. ale i skutecznym lekarstwem przeciwko czarom".

Położony w oczarowane mleko, masło, przywraca je do stanu normalnego (nieszkodliwego). Napis na boku medalu brzmi: „Vade Retro Satana, Nunquam Suade Mihi Vana, Sunt Mala, Qua Libas. Ipse Venena Bibas" *). — Litery zaś w krzyżu umieszczone znaczą: „Crux Sacra Sit Mihi Lux Non Draco Sit Mihi Dux" **).

Widzimy, iż jest to średniowiecze, które do naszych czasów, śród maluczkich a zabobonnych trwa!

Podobne medale z temiż właściwościami cudownemi są czczone w Apeninach (Włochy) S-o Venantius'a — w San Severino — S-o Pacificus'a. W Egipcie u chrześcijan przeciw chorobie oczu skutecznie oddziaływa wizerunek Ś-go Jerzego, pokonywającego smoka.

---

*) W wolnym „częstochowskim" przekładzie będzie to brzmiało mniejwięcej tak:

„Precz, szatanie, ode mnie!
Nie kuś mnie nigdy daremnie!
Ten zły, kto wolny żyje:
Samą truciznę pije".

**) Krzyżu święty, bądź mem światłem! Niech smok (szatan) mym nie będzie wodzem (przewodnikiem)!

Przyp. Red.

Z powyższego wnioskujemy, jak trwałe korzenie śród prostaczków, ubogich duchem (tak zawsze miłych kościołowi) zapuścił animizm, a z nim wiara w fetysze (przedmioty, przynoszące szczęście człowiekowi), wiara powstała i ginąca w mrokach paleolitu (w epoce kamienia łupanego), a licząca już okrągłe 10.000 do 25.000 lat (Wedle str. 122 dzieła Dr. O. Hauser'a (szwajcarski uczony) „Der Mensch vor 100.000 Jahren" — Brockhaus 1917)

Zapamiętajcie wolni myśliciele, że w Eczmiadzynie robiono około 1910 poszukiwania archeologiczne pod katedrą ormiańską; znaleziono tam warstwami aż 9 kultów; najgłębiej była świątynia z okresu czcicieli ognia.

Podobne nawarstwienia w sprawach wierzeń i religji są dla ludzi nauki pospolite — tylko ci, którzy podpisują: approbatur, zdają się o tem nic a nic nie wiedzieć.

Marjan Wawrzeniecki

Głód cudów a śmierć Joanny d'Arc

Jak wiadomo, znana bohaterka narodowa francuska, Joanna d'Arc, córka wieśniaka z Dom-Remy, nazwana Dziewicą Orleańską (za oswobodzenie Orleanu od anglików) została na mocy wyroku inkwizycyjnego spalona na stosie w Rouen w r. 1431 jako „wiedźma i kacerka".

A za co? Ano za to, że pod wpływem religijnej ekstazy (uniesienia, przejęcia się do żywego osobliwościami „tajemnic religijnych"), do której doszła drogą katolickiej dewocji zdawało jej się, że słyszała głosy „świętych pańskich:" Michała, Katarzyny i Małgorzaty. Głosy te nie doradzały jej zresztą nic zdrożnego ze stanowiska „matki-kościoła", bo jeno pobożność, skromność i cnotliwe życie.

Natomiast niezbitym dowodem jej „czarownictwa" było włożenie na się żołnierskiego stroju dla wygodniejszego dosiadania konia, gdy przejęta nieszczęściami swej ojczyzny, najechanej przez anglików, postanowiła pod wpływem tychże „głosów" uwolnić Francję od wrażego najazdu i ukoronować następcę tronu! Miała wówczas lat piętnaście. Na człapaku ojcowskim dotarła do jednego z komendantów francuskich, gdzie otrzymała żołnierskie ubranie i broń i została odesłana do króla, wówczas jeszcze nieukoronowanego Karola VII, do Chinon. Uzyskawszy od niego dowództwo nad armją francuską, uderzyła na Orlean, zajęty przez anglików i zdobyła go. Porwany jej zapałem żołnierz francuski szedł teraz od zwycięstwa do zwycięstwa. I Joanna istotnie dopięła swego. Wypędziła anglików z południowej i środkowej Francji i króla ukoronowała w Reims, (w r. 1429), mieście koronacyjnem przedrewolucyjnej Francji.

Te niespodziewane sukcesy (powodzenia) oręża francu-

skiego przyprawiły o wściekłość zawiedziony w politycznych rachubach zdradziecki kler francuski, który sprzyjał najazdowi (zjawisko w Polsce przedrozbiorowej doskonale znane, zob. W. P. № 5. z r. ub.). Postanowił tedy zemścić się na Dziewicy w sposób tylko sobie właściwy.

Początkowo nie można jej było dosięgnąć, ale gdy podczas jednej z potyczek dostała się do niewoli angielskiej, wszystko już poszło jak z płatka. Anglicy byli jeszcze wówczas katolikami. Zainscenizowano ohydny proces inkwizycyjny, trwający cztery miesiące, w czasie którego „dokonywano cudów" znęcania się w najwyszukańszy sposób nad niewinną dziewczyną (miała lat 18, gdy się dostała w „miłosierne" łapy rzymskiego kleru), spisano długi akt oskarżenia, zawierający 270 rozdziałów (mieli czas, te próżniaki!) i osądzono ją na śmierć „bez przelewu krwi" (bo krwi przelewem kościół katolicki zawsze bardzo się brzydzi) i jak zwykle wezwano obłudnie władzę świecką, aby ze skazaną obeszła się w sposób „łagodny" (zwykła inkwizycyjna formuła).

Dzięki przeprowadzonej staraniem rodziny rewizji „nieomylnego" procesu katolickiego, Joanna została w 25 lat po spaleniu ogłoszona uroczyście za niewinną.

Dopóki kler katolicki we Francji był u władzy, nie myślał wcale o zajmowaniu się Dziewicą. Dopiero przed dwudziestu laty, po oddzieleniu go od państwa, wszczął starania w Rzymie o beatyfikację (uznanie za błogosławioną) spalonej przed pięciu wiekami „wiedźmy", chcąc przez to wykazać w oczach pobożnej opinji francuskiej swoją troskliwość o „świętości narodowe" i przez ten patrjotyczny uczynek wpłynąć pośrednio na ewent. zmianę uchwały parlamentu z 11 grudnia 1906 r. o rozdziale kościoła od państwa i o konfiskacie dóbr kościelnych.

Beatyfikacja została oczywiście przez Rzym zatwierdzona i od 6 lutego 1909 kacerka z Rouen została „błogosławioną". Dokonawszy tego wstępnego posunięcia w kierunku kanonizacji (wpisania do kanonu „świętych") tenże kler przystąpił do „uświęcenia" „błogosławionej" i oto od dziewięciu lat Joanna d'Arc jest oficjalną „świętą" katolicką i niemniej oficjalną patronką Francji, zupełnie tak samo, jak jeden z organów krwioobiegu Jezusa jest patronem Polski (o czem co roku — w czerwcu — jezuici ogłaszają Polsce i światu z rynku Starego Miasta w Warszawie).

Zdawałoby się, że z punktu widzenia kościoła wszystko z Joanną było w porządku. Polityka kleru zrobiła swoje, ale w „kołach wiernych" trwał dotąd niezaspokojony „głód cudów". Jakżeż to? święta i bez cudów? To „nie uchodzi", jak mówi kapelan w „Damach i huzarach" (znana komedja Al. Fredry). Zwłaszcza, że niejedno prawowierne sumienie katolickie nie mogło się pogodzić z tym nader przykrym faktem, że ten sam „nieomylny" kościół katolicki zajął takie różnorakie stanowisko w jednej i tej samej sprawie i że pa-

tronka Francji mogła być kiedykolwiek uważana za czarownicę lub heretyczkę.

Zakrzątnięto się tedy z tym samym zapałem, z jakim Joanna atakowała mury Orleanu i puszczono w obieg prasowy wersję skomponowaną „dla pokrzepienia serc“, że św. Joanna-Dziewica, zaraz po uwięzieniu została cudownie uprowadzona przez anioła z lochów inkwizycji, a jej miejsce zajęła pewna pobożna mniszka, „natchnięta“ odpowiednio przez ducha świętego, i że to właśnie owa mniszka spłonęła „per procura“ (w zastępstwie) na stosie w Rouen i ona została najpierw okrzyknięta za winną kacerstwa i czarownictwa, a w 25 lat potem oczyszczona z tego piętna hańby dzięki „cudownej“ interwencji samej świętej Dziewicy.

Taki podnoszący ducha urywek z żywota najnowszej świętej francuskiej nadesłał nam jeden z przyjaciół z Lille (w oryginale francuskim).

Tu dla ścisłości nadmieniamy, że na ten temat istniały już dawniej podobne wersje, lecz nie tak „cudowne“, jak ta najnowsza. Np. jedna z nich głosiła, że Joanna została uwolniona z więzienia przez oddanego jej dozorcę więziennego, poczem ukrywała się w Metzu, gdzie wyszła za mąż i miała dwóch synów. Umrzeć miała naturalną śmiercią w r. 1443, czyli w 12 lat po domniemanej śmierci na stosie.

Trzeba przyznać, że ta wersja raczej trywializuje (obniża, czyni pospolitą i płaską) śmierć i męczeństwo Joanny, aniżeli ją podnosi. Ale „ubodzy duchem“, dla których to wszystko się przyrządza i tak się na tem nie poznają.

W. Saczyński

Lamaicki św. Klawer i rozbrojenie powszechne.

Jak wiemy, w Indjach i w Tybecie (i nietylko w Indjach i w Tybecie) „działa“ całe mnóstwo misjonarzy chrześcijańskich, trudniących się nawracaniem pogan azjatyckich na pogaństwo europejskie. Jest to więc przelewanie z pustego w próżne i zastępowanie azjatyckiego oryginału nieudolną europejską kopją. Misje te, zwłaszcza katolickie, mają swoje „święte totemy“, czyli „patronów“, jak Wincenty á Paulo, Piotr Klawer i tp. Ten ostatni zwłaszcza, jako „patron misyj afrykańskich“ (wśród murzynów), jest obecnie bardzo modny. Głód egzotyki odczuwają obecnie nawet katolickie dewotki i zaczytują się – niczem Ossendowskim lub Lepeckim—misyjnym „Murzynkiem“, wydawanym przez sodalicję św. Piotra Klawera (może Klawego?).

Chcąc się wywdzięczyć pięknem za nadobne, buddyści

i lamaiści *) postanowili na zjeździe w Nepalu wysłać do Europy swoich misjonarzy i za ich patrona obrali pewnego lamę (duchownego buddyjskiego), który w r. 1892 zagłodził się na śmierć, nie chcąc wpaść w ręce anglików (tak ich kochają). Lama ów w nowem wcieleniu ma się nazywać Ghuma Dhrti Zo.

Jak wiadomo, buddyzm jest religją „łagodną"; nie uznaje ani wojen, ani kary śmierci. Z tego względu uważamy, iż wysłanie misjonarzy buddyjskich do Europy jest bardzo na czasie z uwagi na odbywające się od dłuszego czasu konferencje rozbrojeniowe, które w „miłującej się rodzinie chrześcijańskich narodów" jakoś do niczego nie mogą doprowadzić.

I nic dziwnego. Stara Europa, wychowana w duchu religijnym, tak przesiąkła militaryzmem, tak się zżyła z nałogami i tradycjami rozbójniczemi, tak ukochała ideał „wojny wszystkich przeciw wszystkim" dzięki głoszonym i wyznawanym od dwudziestu wieków zasadom miłości, braterstwa (w bogu), pokory, współczucia i przebaczenia, że ani na chwilę nie myśli się rozbroić. Mówi: „nie zabijaj!" „nie kradnij!",—a łypie tylko zpodełba, komuby zatopić bagnet w trzewiach i nagrabić, ile wlezie. Mówi o pokoju i rozbrojeniu, nawet o stanach zjednoczonych Europy, a myśli z lubością o wojnie i o niewysłowionych rozkoszach wzajemnego mordowania się.

Na tem właśnie polega cała obłuda t. zw. cywilizacji chrześcijańskiej w nacjonalistyczno - kapitalistyczno - imperjastycznem rozumieniu. Pozwala ona co innego mówić, a co innego myśleć i robić. Tak zwana dyplomacja, która w Polsce tylu snobom, głupcom i próżniakom przewróciła w głowie, jest tylko układną metodą postępowania międzynarodowych rozbójników.

Z tego względu misje buddyjskie powinny rozpocząć swoją akcję w Europie od Ligi Narodów, wziąć za punkt wyjścia swojej działalności pakt Kellogga i protokuł Litwinowa. Może za nowe 1929 lat coś tam wkońcu będzie z tego dzisiejszego rozbrojenia, choć prosta szczera uczciwość międzynarodowa zrobiłaby to znacznie lepiej i znacznie prędzej.

W. S.

*) Tybetyński lamaizm do buddyzmu ma się tak, jak katolicyzm do chrześcijaństwa: jak buddyzm w lamaizmie, tak zwyrodniało pierwotne chrześcijaństwo w katolicyzmie. Dziś kościoły reformowane (trochę po niewczasie) zaczęły pracować „dla pokoju". O czem znowu katolicyzm ani słuchać nie chce: dobrze mu tak, jak jest. Wojna to klęska, to nędza, to obniżenie kultury, to nieszczęście, a ksiądz i ciemnota mogą żyć i rozwijać się tylko w atmosferze nędzy i nieszczęścia.

WYSTĘPUJCIE Z KOŚCIOŁÓW

i GMIN WYZNANIOWYCH!

Nie tędy droga

Ministerstwo oświaty (odróżniamy je od Ministerstwa wyznań, gdyż ten dziwoląg urzędowy, zwany „Ministerstwem wyznań religijnych i oświecenia publicznego“, to-contraditio in adjecto *) wydało okólnik, w którym wypowiedziało zaiste słuszną i pięknę zasadą: „Szkoła powinna prowadzić żywą akcję wychowawczą oraz osiągać dostateczne wyniki wychowawcze; w szczególności szkoła musi wychowywać młodzież w duchu wyraźnie państwowym i wyrabiać wśród młodzieży poszanowanie dla władzy państwowej i jej zarządzeń“ (podkr. nasze).

My, wolnomyśliciele polscy, byliśmy zawsze tego samego zdania. Brzmi to poprostu, jako jeden z naszych postulatów w dziedzinie oświaty publicznej. Tylko... Tylko jak to zarządzenie ministerjalne będą szkoły mogły wykonać wobec sklerykalizowania naszego szkolnictwa i skrępowania pracy oświatowej klauzulami konkordatowemi? Bo dopóki ksiądz katolicki będzie samowolnie buszował po szkolnych murach i wpajał młodzieży polskiej „zasady katolickie“, nieliczące się, jak wiadomo z prawem państwowem, ani z wymaganiami wychowawczemi, ani z interesem publicznym, lecz będzie ją wynaradawiał i urabiał na powolne swojej polityce międzynarodowej, bierne i niewolnicze typy, dopóty te piękne i słuszne zasady będą grochem dobrych chęci, rzucanym o ścianę błędnego koła bez wyjścia, a raczej z wyjściem: w postaci rozdziału kościoła od państwa. Tylko, kto ma odwagę o tem pomyśleć?

Prócz Hiszpanji i Polski żadne z państw, pragnących tych samych rezultatów wychowawczych, co i nasze Ministerjum oświaty, nie wpuszcza katechetów katolickich do murów szkolnych.

Kościół katolicki rządzi się w Polsce swojem własnem prawem kanonicznem (art. 1 konkordatu), stojącem zawsze w poprzek wymaganiom prawa państwowego. Sądy biskupie i arcybiskupie drwią sobie z uchwał sądów polskich. Zostało to już nieraz publicznie stwierdzone. Jakżeż tedy dziecko polskie, wychowane przez katechetę katolicktego, ma szanować potem własne prawo państwowe? Możeż ono mieć „poszanowanie dla zarządzeń władz polskich“, skoro widzi, jak w praktyce to prawo i te zarządzenia są niczem wobec prawa kościelnego? Że można je lekceważyć i z niemi się nie liczyć?...

Wiedzą o tem już oddawna wszystkie państwa Wschodu i Zachodu, ale my o tem wiedzieć nie chcemy. Wiedzą o tem, nietylko Francja, Anglja, Niemcy, Czechosłowacja, obie

---

*) Sprzeczność w przymiotniku. Np. sucha woda, zimny ogień. W danym wypadku: ciemna oświata, głupia wiedza itp.

Ameryki z Meksykiem, nie mówiąc o krajach czysto protestanckich, jak Holandja, Danja, Szwecja, Norwegja, Finlandja Prusy itp., ale wie o tem nawet Mussolini, owo bożyszcze naszego rodzimego bogo-ojczyźnianego wstecznictwa.

Ażeby szkołę uczynić więcej „życiową" i nieprzeciążającą umysłowości dziecka, wyrzucono z programów szkolnych grekę, skrócono kurs łaciny, ograniczono liczbę języków nowożytnych do jednego, ale katechecie pozwalają bez protestu zabierać po dwie lub trzy godziny tygodniowo na naukę t. zw. religji, bo, paniedobrodzieju, konkordat... W ten sposób każda ze szkół polskich marnuje po 80 do 120 godzin wykładowych rocznie na całkiem „nieżyciowe" głupstwa i na „wychowywanie młodzieży w duchu wyraźnie niepaństwowym".

Tak, szanowni! dopóki nie powiecie stanowczo katolickiemu katechecie: „fora ze dwora i ze szkoły", dopóty waszemi pięknemi „dobremi chęciami" co do „dobrych wyników wychowawczych" będzie Watykan brukował piekło naszej duchowej niewoli i naszego kulturalnego i moralnego zacofania.

Dlatego: „Precz z konkordatem!", jeżeli nie chcecie, aby i ten okólnik pozostał na papierze.

W. H.

KRONIKA

XXI Wszechświatowy Kongres Wolnej Myśli.

Jakto wzmiankowaliśmy w nrze. 7 Wolnomyśliciela Polskiego — w dniach 7-10 września r. b. odbędzie się w Luksemburgu XXI Wszechświatowy Kongres Wolnej Myśli, na który został zaproszony i Polski Związek Myśli Wolnej.

Jako delegaci Związku wyjeżdżają do Luksemburga: dwaj członkowie Zarządu Głównego, ob. ob. J. Sołtys i J. Landau, oraz członek Zarządu Koła Warszawskiego ob. D. Jabłoński.

Sprawozdanie z Kongresu zamieścimy w jednym z najbliższych numerów „Wolnomyśliciela Polskiego".

Znowu mokra uroczystość

W dniu 7 lipca r. b. odbyło się w Warszawie w obecności najwyższych dygnitarzy państwowych „poświęcenie" Polskich linij lotniczych „Lot". Biskup Gall odprawił mszę polową, a biskup Szlagowski wychwalał wyklęty przez Piusa IX postęp (w dziedzinie lotnictwa). Ponieważ przez cały czas padał ulewny deszcz, wszyscy obecni, począwszy od Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, zmokli niemal w taki sam sposób, jak przed dwoma laty na koronacji ostrobramskiej w Wilnie.

Gdy w roku ub. z okazji dziesięciolecia niepodległości Polski zgromadzono na Pl. Marsz. Piłsudskiego kilkanaście tysięcy dzieci, mających oddać hołd najwyższemu dostojnikowi państwa, wytłumaczono p. Prezydentowi, aby nie wyjeżdżał z Zamku, ponieważ pada deszcz ze śniegiem.

Otóż gdy chodziło o kilkanaście tysięcy dzieci od 7 do 14 lat, z których wiele się poprzeziębiało, czekając bezskutecznie cztery godziny na chłodzie i deszczu na powitanie Głowy Państwa, to był powód do troski o

czas i zdrowie pierwszego obywatela państwa. Ale gdy chodzi o mszę polową—nawet rzęsista ulewa nie jest dostatecznym powodem, aby p. Prezydenta zatrzymać w domu.

Czyżby Kancelarja Cywilna była istotnie organem, podległym Repninowi współczesnej Polski:—nuncjuszowi papieskiemu?

I czyżby w tem wysługiwaniu się polityce kleru katolickiego nie przydało się trochę więcej—godności!?

Mamy wrażenie, że warto się nad tem zastanowić. *S. W.*

Bezdomni a kościoły

Oficjalna statystyka wykazała, że w lipcu było w Warszawie blisko 3000 rodzin bez dachu nad głową. Ludzie ci mieszkają pod wiaduktami (dojazdami) mostowemi, pod gołem niebem, w lepiankach, w ziemiankach, w szałasach w oborach, w pustych na przednówku stodołach i tp.

Aby ulżyć ciężkiej doli tych nieszczęśliwców, zawiązano kilkanaście komitetów budowy nowych kościołów w Warszawie i na prowincji. Komitety te pracują niezwykle sprawnie i sprężyście przy wydajnej pomocy państwa, samorządów i poszczególnych obywateli, którym bardzo leży na sercu smutna dola bezdomnych braci w Chrystusie. Wobec czego należy się spodziewać że w najbliższym czasie kryzys mieszkaniowy zostanie zażegnany i że z nadejściem zimy połowa bezdomnych wymrze.

Będą oni mieli za to tę wielką pociechę, że w rosnącej z roku na rok liczbie świątyń pańskich będą wznoszone, zagwarantowane konkordatem, modły za pomyślność Polski i jej najbiedniejszych obywateli, że ze świątyń tych będzie płynęło moralne popieranie nędzy kraju w myśl prawdy, wygłoszonej w swoim czasie przez Jana Lemańskiego : „nędzę stale się popiera, więc ta nędza nie umiera“ i że stan ekonomiczny państwa i beztroskie życie jego najliczniejszych obywateli tyle na tem zyska, ile zyskała Polska przedrozbiorowa, gdy za pomyślność jej dziesięciotysięcznej (w teorji!) armji, modliło się w praktyce z jak najlepszym politycznym skutkiem 50 tysięcy pobożnych darmozjadów, czyli mnichów, mniszek i księży (zob. Tad. Korzon. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta“. tom I str. 156).

To głupstwo, że nie będziemy mieli domów dla ludzi, skoro stać nas na nadmiar domów dla bogów i murowanych plebanji dla bożych parobasów i ich gospodyń.

W. S.

Zapowiedź wojny religijnej

Ponieważ katolickie prusactwo pomorskie znowu napadło na nabożeństwo wyznawców kościoła narodowego (w Nowej Wsi pod Tarpnem 23 czerwca), zburzyło ołtarz i połamało sprzęty liturgiczne i umeblowanie salki, podeptało i połamało krzyż, za który wsadziło napis „Do ustępu“ oraz poraniło ciężko parę osób—ks. Hajduk z kościoła narodowego oświadczył w Min. W. R. i O. P., gdzie mu bezradnie odmówiono wszelkiej pomocy, że odiąd nie ruszy się nigdzie bez bojówki („Zwiastun ewangieliczny Nr. 27).

Ano, niechaj się „gwałt gwałtem odciska“, skoro w konkordatowej Polsce inaczej być nie może. Mamy tylko pewne obawy, czy ta krew, która się teraz w Polsce obficiej poleje, nie obciąży przypadkiem sumienia rządu i nie postawi pod znakiem zapytania szczerości „uroczystych“ przysiąg pp. ministrów na Konstytucję, zawierającą, jak wiadomo, i art. III, poręczający „uroczyście“ ([1]) wszystkim obywatelom wolność sumienia i wyznania.

Ten dziwny, niezrozumiały upór, z jakim nasze Ministerstwo Wyznań odnosi się do kościoła narodowego (i metodystycznego) niechcące ich zalegalizować wbrew postaniowieniom art. 111 i 116 Konstytucji, robi wrażenie, jakby niektórzy ministrowie przy składaniu przysięgi na Konstytucję czynili zgóry pewne „zastrzeżenia myślowe“ (reservatio mentalis) co do niektórych postanowień konstytucyjnych i mówili sobie w duchu: „te posta-

---

[1]) Byłoby znacznie lepiej, gdyby w naszej Konstytucji było mniej „uroczystości“, a więcej zwykłej szczerej uczciwości.

Red.

nowienie będę wykonywał, a tamte niech pozostaną na papierze". Tego rodzaju zastrzeżeń myślowych uczy z jednej strony Talmud, a z drugiej „Teologja moralna" św. Alfonsa Liguoriego.

Ambo meliores (jeden wart drugiego)! *H.*

Zbrodnicze pokłosie

W jednej z białoruskich wsi (Rudowlany, gm. Hołynka) mieszkańcy od dłuższego czasu przemyśliwali nad tem, aby jakim praktycznym sposobem zabezpieczyć się od szkód, wyrządzanych im rok rocznie wyładowaniami atmosferycznemi. Na zebraniu gromadzkiem w tej słynnej z pobożności wsi, dały się słyszeć głosy że pomimo wystawiania w oknach zapalonych gromnic w czasie burzy, nie udało się uniknąć okaleczenia piorunami ludzi i zniszczenia dobytku. Niejeden dom poszedł z dymem.

Ponieważ zaś wieś jest kryta słomą, więc dalsze eksperymenty z gromnicami, w razie niepowodzenia, nijak nie opłaciłyby się.

Zaproponowano więc opodatkować się po kilka groszy i zabezpieczyć wieś piorunochronami. Głosu zażądała opozycja. Kontprojekt opozycji brzmiał: „Nie pomogły gromnice, widocznie bóg ma żal do nas. Trzeba zebrać pieniędzy, zaprosić popa, odprawić „molebień" i poświęcić wieś. Z pewnością ani jednego domu więcej piorun nie spali!"

Ponieważ jeden mieszkaniec uchodzący za autorytet w sprawach religji z tytułu pełnienia funkcji kwestarza cerkiewnego, przezornie wypowiedział się za pioruchronami, — opozycja zachwiała się, rozsypała i została przegłosowana. Odchodząc, jeno mruczeli. „Wsio rawno, naproć Boha niczoha ni zrobicie!"

O! czyściciele cudzych sumień!

Jak wy możecie spać spokojnie, mając własne sumienia obarczone niedolą niewinnych ludzi, których ogłupiacie. Toć to kultywowanie przez was zacofanie takie plony wydaje.

E. H.

Z książek

„Leon hr. Tołstoj. SPOWIEDŹ Warszawa Kraków—Lwów. 1929 r. str. 128. Cena zł. 1.50 (wydrukowano zł. 2.40).

Jak wiadomo, autor „Wojny i Pokoju" i „Anny Kareniny" został wyklęty przez synod rosyjskiej prawosławnej cerkwi za „herezję". Ponieważ do śmierci nie odwołał on swoich „błędów", popi odmówili udziału w jego pogrzebie, i pogrzeb Tołstoja miał charakter świecki. Odbył się on przy współudziale przedstawicieli całego ucywilizowanego świata 22 listopada 1910 r. w Jasnej Polanie, w majątku wielkiego pisarza.

Wogóle życie Tołstoja obfitowało w wiele paradoksów, połowiczności i niedociągnięć. Tak było z jego zerwaniem ze swoją „sferą", tak było z jego schłopieniem i z rzekomem ubóstwem i tak było z jego „religijnością". Jasny umysł, rozległa wiedza, szerokie oczytanie, pierwszorzędny talent pisarski—wszystko to nie uchroniło go od załamań wewnętrznych i — powiedzmy to otwarcie — różnych dziwactw, które tem chętniej mu wybaczamy, iż były to dziwactwa wielkiego człowieka.

Wiele z tego da się wytłumaczyć i dekadentyzmem (upadkiem, przeżyciem się) sfery, do której należał i specjalnemi warunkami rosyjskiego życia. Kryła się w tem spora doza jego osobistego tragizmu, z którego szukał wyjścia. Były nawet chwile, iż myślał o samobójstwie.

Takiem rozpaczliwem szukaniem ratunku z nieznośnego położenia i ucieczką od samego siebie było jego „nawrócenie się", stylizowane na ludowość. Widząc szaloną pustkę w życiu swojej sfery, prowadzącej bezmyślne, próżniacze, hulaszcze, pasorzytnicze życie, niezastanawiającej się, dla kogo i poco żyje, postanowił z nią zerwać i zejść do ludu, upodobnić się do niego pod każdym względem, nietylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie. Ubrawszy się w strój mużyka, chciał również zostać religijnym

jak i on. Zaczął chodzić do cerkwi, modlić się, pościć, spowiadać. Chciał zapomnieć o swojej przeszłości, pochodzeniu, zniżyć się do pojęć prostego ludu i ustosunkować do bytu, tak jak i on, „na sposób zwierzęcy".

Chciał przytem pracować nietylko dla siebie, lecz i dla innych. I to jedno w tem wszystkiem było słuszne, gdyż prawdziwy cel naszego życia wyraża się w wykonywaniu obowiązków społecznych, do których należą również i nasze obowiązki rodzinne. Zadość czynić tym obowiązkom może każdy, zarówno inteligent, jak i człowiek prosty bez narażenia się na konflikty (zatargi, nieporozumienia) z samym sobą i z własnem sumieniem.

Gdyby Tołstoj był na tem poprzestał, wszystko byłoby w porządku. Zachciało mu się jednak zewnętrznych akcesorjów, z których dawno wyrósł i to powikłało w jego umyśle rzeczy istotne z nieistotnemi. Dostrzeże to każdy z czytelników „Spowiedzi". On, człowiek obojętny pod względem religijnym, a od 18 roku życia zdecydowany ateusz, utrzymujący, że wszystko, czego uczą kościoły, jest prostym wymysłem; że religja jest kłamstwem, ponieważ nie bierze w życiu ludzkiem żadnego udziału; że stanowi ona oderwane od życia zjawisko; że z czynów ludzkich nie sposób jest domyśleć się, czy spełnia je człowiek wierzący, czy niewierzący; że jeżeli jest jaka różnica pomiędzy jawnym wyznawcą a odstępcą, nie wypadnie ona na korzyść wierzącego; że dewocje dostrzegamy zwykle u ludzi tępych, okrutnych, niemoralnych i wyniosłych, rozum zaś, uczciwość, prostotę i dobroduszność tylko u niewierzących — człowiek ten wszedł pewnego dnia do cerkwi w wieśniaczym stroju, „ukorzył się", zaczął bić pokłony i wypełniać wszystkie praktyki religijne dlatego tylko, że „tak robi lud". Jednem słowem „nawrócił się", lecz to nawrócenie obwarował tyloma zastrzeżeniami, iż zerwanie jego z cerkwią prawosławną, w której zawsze widział całą masę zabobonów, było tylko kwestją czasu. I istotnie, trwało to zaledwie trzy lata. Ukorzył jednak swój rozum przed temi zabobonami, ponieważ były one związane z życiem ludu roboczego.

Pogwałcone jednak prawa intelektu dopomniały się o swoje prawa i Tołstoj zerwał z prawosławiem raz na zawsze. Chciał teraz przyjąć jakąkolwiek religję, byleby tylko nie była sprzeczna z rozumem; i oczywiście takiej nie znalazł. Studjował buddyzm, katolicyzm, mahometanizm, wyznania protestanckie — lecz wszystkie te „religje" nie czyniły zadość jego kulturze umysłowej i moralnej; wszyskie były sprzeczne z rozumem, wszystkie były nietolerancyjne, we wszystkich prawda była zmieszana z kłamstwem i wszystkie były bezsilne wobec życia. Przerażała go, zwłaszcza myśl, ile zła dzieje się na świecie „w imię religji" i jaki jest stosunek wszystkich kościołów do wojny i kary śmierci. I miast „wierzyć," zaczął studjować samą religję. Czyli doszedł w ten sposób do punktu, w którym się znajdował przed swojem „nawróceniem".

O wynikach tych badań niema już mowy w „Spowiedzi". Wyniki te jednak synod prawosławny uznał za groźne dla siebie i Tołstoja wyklął.

Trudno. Tołstoj nie mógł już dokonać odwrotnej ewolucji swego mózgu, choćby dlatego, że ewolucja jest zjawiskiem nieodwracalnem; nie mógł przekreślić swego wykształcenia, ani wysokiej kultury swoich uczuć. Na to musiałby się urodzić poraz drugi i wychować pod dachem wieśniaka. Odrzucił więc w sposób kategoryczny stronę nieistotną swoich sympatyj dla ludu czyli religję, natomiast samym tym sympatjom pozostał wierny do końca.

Charakterystyczne są jego wynurzenia na temat wątpliwości i zastrzeżeń, z jakiemi odnosił się do nauk i dogmatów kościelnych, które za wszelką cenę starał się zrozumieć. Np. zwrot „umiłujmy się nawzajem jednomyślnie" był mu zrozumiały, natomiast drugie zdanie tego zwrotu „jedynie wyznawajmy Ojca i Syna i Ducha św." opuszczał, gdyż go zrozumieć nie mógł. Rozumiał modlitwę za cesarza, ale modlitwy o „ukorzenie wrogów i nieprzyjaciół, jako sprzecznej z zasadą miłości bliźniego, nie mógł rozumowo uzasadnić, a ilekroć chciał to uczynić, czuł, że kłamie. Równie niedorzeczne wydawały mu się sakramenty chrztu i komunji. Chrzest i związane z nim zgładzenie grzechu pierworodnego jest według niego gorszącem widowiskiem i okłamywaniem naiwnych; gdy mu zaś

przy komunji duchowny kazał powtarzać, iż wierzy, że to, co za chwilę ma połknąć, jest prawdziwem ciałem i krwią, przyznanie się do tej „wiary“ nie mogło mu przejść przez usta. „Ukorzył się” jednak za pierwszym razem, ale drugi raz już do komunji nie poszedł. I t. d.

W tych wyznaniach mamy namacalny dowód, jak wygląda naprawdę „wiara“ inteligenta i jakże ci wszyscy „wierzący“ inteligenci muszą haniebnie okłamywać samych siebie, jeżeli mimo wszystko wykonywają przepisane praktyki religijne. Tylko, że nie każdy z tych świadomych obłudników jest Tołstojem i nie każdy, tak jak on, ma odwagę przyznać się do tego. I to właśnie jest ohydne i niemoralne.

H. W.

Odpowiedzi Redakcji

O ślubach cywilnych

Ob. Wiesł. Z. w Sochaczewie. Bywa tak dlatego, ponieważ człowiek religji ma właściwie dwa sumienia: jedno własne, ludzkie, a drugie wyznaniowe. Kto dostrzeże w sobie współzawodnictwo tych dwóch kierunków etycznych, winien się niezwłocznie zdecydować, po którego stronie się opowiedzieć. Nasze sumienie przyrodzone powinno we wszystkiem, co dotyczy społecznej strony naszego życia, mieć głos decydujący. Jak już przekonaliście się sami, sumienie wyznaniowe obraca się w świecie teorji, nasze zaś własne sumienie ludzkie kształtuje się w sferze praktyki życiowej i jest dostosowane całkowicie do życia społecznego. Dlatego ten, kto się własnem sumieniem rządzi, może się nie obawiawiać takich rozdźwięków, jak te, o ktorych piszecie.

Ślub cywilny można w Polsce otrzymać jedynie w b. zaborze pruskim względnie austryjackim. Aby mieć do tego formalne prawo, należy przedtem zamieszkać lub zameldować się np. w Katowicach, w Poznaniu lub w Toruniu. Wolnomyśliciel tedy, zwłaszcza ten, który wystąpił już z kościoła, nie potrzebuje zostać z powrotem, aby otrzymać ślub, członkiem jegnego z „uznanych przez Państwo“ wyznań. Byłaby to rzecz niegodna człowieka niezależnej myśli. Sami to zresztą dobrze rozumiecie.

Ob. Kaz. K. w Gąsoclnie. Gruntowniejsze umotywowanie tych spraw znajdziecie w świetnej broszurze prof. J. Baudouin de Courtenay'a „Mój stosunek do kościoła“. (cena 2 zł.)

Dogmatyczne różnice pomiędzy kościołem rzymskim a kościołami reormowanemi opracował wileński zbór ewangelicko—reformowany w książce p. t. „Porównanie wyznania rz. katolickiego z ewangelicko—reformowanym“ cena ok. 3 zł. Będzie ją miała zapewne na składzie księgarnia Mietkego, Warszawa, Wspólna 10.

O fałszerstwach, dokonanych z poduszczenia ducha św.

Ob. Al Kroch. Swidowa. Chrystus jest legendą, przeniesioną na niebo jako mit astralny (zob. art. o czystem myśleniu w Nrze. 17 W. P.). Jego historyczność została przez naukę już dawno obalona. Jeszcze Renan (1823-1892) traktował Jezusa „historycznie“.

Wszelkie rzekome dowody historyczności Jezusa (u Tacyta, Józefa Flawjusza i in.*). okazały się w rezultacie zwyczajnemi fałszerstwami, dokonanemi drogą wstawiania tendencyjnych ustępów przy przepisywaniu dzieł współczesnych pierwszym gminom chrześcijańskim historyków. Robiono to

---

*) Przez zemstę, że Tacyt, historyk rzymski (54-117) nic nie wspomniał w swoich „Rocznikach“ o Chrystusie, papież Grzegorz Wielki kazał je spalić, a prochy Tacyta wydobyć z grobu i rozrzucić „na wiatr“. Nic dziwnego, że dzięki takim „mecenasom“, większość pism starożytnych pisarzy nie doszła do nas w całości, bądź zaginęła zupełnie.

po to, aby za wszelką cenę udokumentować historyczność „cudu" „wypełnienia się Zakonu" i przepowiedni proroków o Mesjaszu-Chrystusie (greckie słowo „Chrystus" jest przekładem hebrajskiego „Mesjasz"). Ten podstęp jednak się nie udał, choć trwał prawie do naszych czasów.

Do takich fałszerstw i apokryfów należy właśnie i ów list o zewnętrznym wyglądzie Chrystusa, przypisywany Publicjuszowi Lentulusowi. Jest on jednak szyty tak grubemi nićmi, że trudno było go wziąć uczonym za dobrą monetę. To też zdemaskowanie tego falsyfikatu nie przedstawiało żadnej trudności. U nas pisał o tem Ignacy Radliński. Zobaczcie również wzmiankę o Lentulusie w „Encyklopedji Orgelbranda" (1901, tom IX. str. 237).

Ponieważ Jezusa nikt nie widział, bo nie mógł widzieć, plastyczne od tworzenie jego zewnętrznej postaci polegało i polega tylko na domysłach. Przyczem różni różnie go sobie wyobrażali: jedni z brodą, inni bez brody (Michał Anioł,) jedni jako blondyna, inni jako bruneta, ci jako semitę, tamci jako aryjczyka, bywał piękny, bywał brzydki, inaczej go odtwarzała sztuka bizantyjska, inaczej romańska lub gotycka itp. „Ojciec kościoła", Tertuljan (160-240) utrzymywał, że twarz i postać Jezusa była pozbawiona wszelkiego piękna i wdzięku i na dowód (?) tego oświadczył, że inaczej „nie byliby żydzi... na niego pluli". Trzeba przyznać, że ten argument nie bardzo się udał naszemu ojcowi kościoła, zwłaszcza, gdy się zważy, że swoją apologję Chrystusa (De carne Christi) pisał najprawdopodobniej pod dyktando ducha św.

Historyczność listu Lentulusa jest tyleż warta, co owe rzekomo identyczne odbicie twarzy Chrystusa na chuście św. Weroniki. Jak zapewne pamiętacie, kilkanaście lat temu hurtownicy dewocjonalji katolickich puścili w obieg straganiarski sztychowaną odbitkę owego wizerunku, mającego się znajdować w Turynie (Włochy). Uzyskali oni nawet jakieś kościelne „aprobatur" (zatwierdzenie) na tem wydawnictwie i interes szedł świetnie, jak w narożnym sklepie. Impreza jednak skończyła się skandalem i Rzym uważał za stosowne wycofać się cichaczem z tego humbugu (oszustwa, „nabierania gości").

W tem wszystkiem daje nam do myślenia inna sprawa. Umieszczenie listu Lentulusa w naszej prasie („Ill. kurjer codz". Nr. 89) bez żadnych omówień, czyli w sensie poważnym, nasuwa dwa przypuszczenia: albo autorka nadesłanego nam artykułu wiedziała, że popiera fałszywy dokument, albo nie wiedziała. Jeżeli wiedziała (a powinna była wiedzieć; bo sprawa była w swoim czasie b. głośna), popełniła zwykłe nadużycie, a jeżeli nie wiedziała, wystawiła sobie i sobie podobnym świadectwo umysłowego ubóstwa (testimonium paupertatis). Dowiodła tem, że nie zna dziejów własnego wyznania, za które (jak przypuszczamy) gotowa byłaby dać się rozszarpać na arenie cyrkowej lub przynajmiej usmażyć w oleju.

Jest to także dowód, jakimi są nieukami w sprawach religijnych literaci polscy i jak ich te sprawy nic a nic nie obchodzą. Ale za to mają tupet (zuchwałość, pewność siebie). A skoro inteligenci są takimi ignorantami w tej dziedzinie, to czegóż mamy wymagać od ciemnego chłopa lub robotnika, zwłaszcza, gdy go ten inteligent w ten sposób informuje?

O cywilizacji i kulturze

Ob. Z. Sak. Wieruszów. Cywilizacja często bywa łączona z kulturą i na odwrót. Cywilizacja dotyczy strony zewnętrznej życia, kultura wewnętrznej. Pierwsza jednak wypływa z drugiej. Jeżeli jakieś państwo będzie miało doskonale urządzone szkoły, drogi, więzienia, sprawną administrację itd. będzie to cywilizacja. Jeżeli w danem państwie poziom szkolnictwa będzie wysoki, nie będzie przemęczał dzieci, będzie wypuszczał w życie młodzież światłą, mądrą, ludzką, dobrze wychowaną społecznie i dobrze przygotowaną do życia, jeżeli na drogach nie będą napadali zbóje i bandyci, w więzieniach będą pustki, a administracja nie będzie przekupna, lecz grzeczna, uprzejma, obowiązkowa, sumienna, traktująca potrzeby obywateli nietyle wg. litery, ile wedle ducha praw i wykazująca wszędzie maximum dobrej woli itp. będzie to kultura. Takich przykładów możnaby namnożyć bardzo wiele.

Otóż co do Polski jesteśmy zdania, że z cywilizacją (samochody, dobre kolejnictwo, przemysł filmowy, asfaltowane jezdnie, dwie obrotowe sce-

ny, wzorowy gmach gimnazjum im. Stef. Batorego, kilka radjostacyj itd.) jest jako tako. Zwłaszcza w większych miastach (o wsi lepiej nie wspominać). Natomiast z kulturą jest znacznie gorzej. Świadczy o tem najwyższy w Europie odsetek przestępczości, pogromy żydów, 40% analfabetów, nasza zdziczała młodzież akademicka, wybijająca szyby w niemiłych sobie redakcjach (co z niej wyrośnie???), nijaka inteligencja, wegetowanie pism naukowych i poważnych literackich, unieważnianie wyroków sądów państwowych przez sądy arcybiskupie (jak za dobrych średniowiecznych czasów), mętlik rozwodowy, jakiego świat nie widział (z powodu kościelnego ustawodawstwa małżeńskiego i nieuregulowania dotąd tej sprawy w duchu świeckim, postępowym i demokratycznym), nędzę, robotniczą, zabagnione życie publiczne, chroniczny kryzys mieszkaniowy z towarzyszącemi mu okropnościami, profesorowie uniwersytetów, organizujący akademje „ku czci" ojca św., dyplomaci, wznoszący, toasty „niech żyje bóg i ojczyzna". itp. Tkwi w nas spora doza parwenjuszostwa. Chcemy jak najprędzej dorównać Zachodowi w zewnętrznym wyglądzie. Dlatego robi się u nas wiele na pokaz, choć jeszcze nie mamy bardzo co pokazywać. Chcemy np. skierować ruch turystyczny do Polski, ale nie byliśmy dotąd w stanie zapewnić cudzoziemcom odpowiednich pomieszczeń i wygód, jakie mają. Szwajcarja i Włochy. Imponująca wystawa poznańska raczej „pokazuje" strony gospodarczą i przemysłową kraju: cywilizacyjne, a nie kulturalne. Jak kokietka zrobiliśmy sobie na poczekaniu sztuczne rumieńce i ubraliśmy się jako tako modnie, po zagranicznemu. Z tej zagranicy wzieliśmy tylko stroiki zewnętrzne (wprawdzie dobre i to), ale nie mamy jeszcze odwagi przyjąć choćby mechanicznie tego, co stanowi rdzeń kultury Zachodu i jest tam chlebem powszednim.

Mamy kilka wzorowych budynków szkolnych, które pokazujemy cudzoziemcom, ale w szkołach tych zapychamy dzieciom mózgi średniowieczczyzną i robimy z nich dewotów i świętoszków; gdy inne państwa (nawet faszystowska Italja) nie wpuszczają do szkół księży, my im pozwalamy rządzić się w szkole, jak szarym gęsiom; gdy nasza aljantka, Francja, urządza obchody ku czci Renana i największego swego pisarza, Anatola France'a, chowa w Panteonie narodowym bez udziału księży, my Słowackiego odprowadzaliśmy na Wawel w asyście czarnego katolickiego „robactwa", i rządzimy się przestarzałemi kodeksami carskiemi, które nie dopuszczają ślubów cywilnych i przewidują wysokie kary za bluźnierstwa. Itp.

Ale miejmy nadzieję, że z czasem i to się zmieni. A pierwszym krokiem do tej zmiany musi być rozdział kościoła od państwa i całkowite zeświecczenie życia publicznego, począwszy od szkoły.

Sprostowanie.

W n-rze 17 „WP" wkradły się następujęce błędy na str. 4 w 3 w. od góry: powinno być „religare" i Laktancjusz. w w. 19 „pełną", na stronie 8 w w. 22: „absurdalne", na str. 9 w w. 7 od dołu: „Wolność woli" należy przenieść do wiersza 4 od dołu na tejże str. za nawias.

PRENUMERATA
„WOLNOMYŚLICIELA POLSKIEGO"
WYNOSI: rocznie — zł. 7.—, półrocznie — 3.50, kwartalnie — 1.80.
Zagranicą dol. 1.50 (z przesyłką) rocznie.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Królewska 16, tel. 118-14.
Konto czek. P. K. O. 14200.

Redaktor: **Marja Jankowska.** — Wydawca: **Spółdzielnia „Bez Dogmatu"**

Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka z o. o., Warszawa Pańska 4.